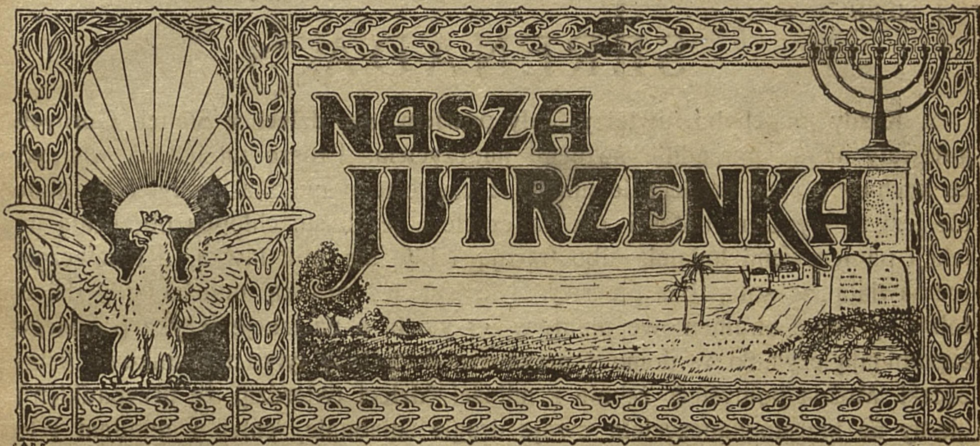
Rok IV. Lwów, wrzesień 1924. Nr. 4.



PISMO DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

MIECZYSŁAW OPAŁEK.

U progów szkoły.

Hej powitał nas na nowo
Druh nasz wierny dzwonek,
Dobra rada, ciepłe słowo
Powitały nas na nowo
We wrześniowy dzionek.

Powitała szkolna książka
Kartek swych szelestem —
Treść jej niby barwna wstążka —
Powitała nas ta książka
Szepcząc: oto jestem!

Białe ściany, a na ścianie
Obrazy jak kwiecie,
W środku cudne malowanie:
Wódz w sukmanie — na tej ścianie
Zaklęty w portrecie.

Obok duża piękna karta:
Wisła, Karpat zwały...
Oto ziemia z szpon wydarta,
Rysowana szablą karta
Polski Zmartwychwstałej.

Wszystko w białej izbie wzywa:
Ucz się i dąż w szczyty,
Siły, wiary kuj ogniwa,
Ucz się, pracuj — wszystko wzywa
Dla Rzeczpospolitej!

Tym apelem nas na nowo
Wita znany dzwonek,
Dobra rada, ciepłe słowo
Tem witają nas na nowo
We wrześniowy dzionek.

J. SIEBE.

SERENADA.

Każdy mi chyba uwierzy, gdy powiem, że dzieci z Sianek Górnych gniewały nieraz porządnie swojego nauczyciela. Proszę mi jednak wierzyć, że kochały go też serdecznie mimo, iż często tego nie okazywały. Naturalnie nie jest to wyrazem miłości dla nauczyciela, jeżeli się chłopcy obrzucają na lekcji papierowemi kulami, albo trącają i biją się pod ławką, a dziewczęta rozmawiają ze sobą bez przerwy. Nie jest też oznaką miłości, gdy dzieci robią ogromne atramentowe plamy w zeszytach, a na lekcję języka polskiego zapominają czytanki w domu i przynoszą do szkoły tylko rachunkowe książeczki. Można pomyśleć, że nie z miłości (dzieci twierdzą, że przypadkiem) kładły na krzesło nauczyciela swoje drugie śniadanie, chleb z miodem i to stroną posmarowaną miodem do krzesła, tak, że się nauczyciel przylepiał, gdy usiadł. Nikt chyba nie powie, aby to było dowodem miłości, że Kazik na lekcji geografji otworzył pełne pudełko chrząszczy i puścił je w klasie. A jednak pomimo wszystko dzieci kochały swego nauczyciela i gdy ich rówieśnicy z innej wioski chwaliły im swojego, nasze poczęły krzyczeć:

— Nasz nauczyciel jest jeszcze o wiele lepszy!

Nauczyciel nie był przekonany o miłości dzieci, a gdy zaproponowano mu pewnego dnia odpowiednią posadę w mieście, odpowiedział, że się namyśli, zanim da stanowczą odpowiedź. Dzieci dowiedziały się o tem i nastraszyły się porządnie. Odtąd jedynym tematem rozmów było, czy ich też nauczyciel nie porzuci.

Nastała wiosna. Śnieg poczynał topnieć, a malce, które cieszyły się nim w zimie, nie mogły się teraz doczekać, aby stopniał.

Jan, parobek młynarza, lakierował na podwórzu wóz na niebiesko, gdy przybiegli do niego Franek, Kuba i inni chłopcy i pozdrowili go grzecznie:

— Hm! — brzmiała cała odpowiedź młynarzowego pomocnika, który lubo, że był małomowny, lubił przecie i towarzystwo.

— Słyszeliście już o tem Janie, że nasz nauczyciel odjeżdża? — spytał Kuba.

— Nie! — rzekł parobek i ze zdumienia podniósł pędzel do góry, a potem o mało co nie szurnął Antka po twarzy.

— Nie wiecie jeszcze o tem? — zdziwił się Franek.

— Przeprowadza się do miasta! — zakrzyknęli chłopcy chórem.

— Tak, tak! — odpowiedział Jan.

— Do miasta? Przecież lepiejby zrobił, gdyby tu został. Czy nie tak?— zauważył Franek.

— Nie — powiedział parobek.

— Dlaczego nie? — zawołały dzieci chórem, a Jan odpowiedział z przekąsem:

— Bo wy jesteście łobuzy, a miejskie dzieci są grzeczniejsze.

Dzieci bardzo się oburzyły na Jana, uważając, że to zuchwalstwo z jego strony. Antek zaczerwienił się jak burak i zaperzył ze złości, inni krzyczeli,

— To jest poprostu bezczelność!

Jan uśmiechnął się pod wąsem, tak że chłopcy zrozumieli, że z nich tylko żartował, ale tak źle o nich nie myślał.

— Czemuście to powiedzieli, Janie? — spytał uspokojony już Franek: — Poradźcie nam, czem moglibyśmy ucieszyć nauczyciela, może zostanie, jeśli mu zrobimy bardzo miłą niespodziankę.

— Ale to nie powinno nas nic kosztować — powiedział Kazik, który miał tylko 5 groszy i chciał sobie za nie kupić bąka w sklepiku.

— Hm! — bąknął Jan i zamyślił się głęboko. Chłopcy stali dookoła w milczeniu, by nie przerywać myśli Janowi, bo to zawsze go bardzo gniewało.

— Urządźcie mu serenadę! — powiedział po chwili i dumnie spojrzał dookoła.

— Serenadę? co to takiego? — zapytały dzieci chórem.

Jan odpowiedział pomału i z namysłem:

— Serenada to jest właśnie — hm — to jest — serenada!

Chłopcy spoglądali na siebie, nic a nic nie rozumiejąc, a Kazik napierał się jeszcze natarczywiej.

— Ależ powiedzcie nam przecie, co to jest serenada!

Jan spojrzał srogo na chłopca, podniósł pędzel do góry, a Kazik cofnął się, skrył się za Kubę wójtowego i zamilkł.

Z Janem niebezpiecznie było zaczynać!

— Hm, tak, tak! Serenada to jest muzyka! — tłómaczył Jan — gdy byłem jeszcze we wojsku, urządziliśmy raz serenadę. Ja przysłuchiwałem się tylko. Pułkownik nasz wtedy też chciał odejść.

— A czy potem został? — dowiadywali się ciekawie chłopcy.

— Nie! — powiedział Jan nieco zmieszany — Hm... nie, ale to było pięknie!

Zaciekawił tem chłopców jeszcze bardziej. Męczyli go tak długo, aż się zdobył na bliższe wyjaśnienie a nawet przyrzekł pomóc im w urządzeniu serenady. Chłopcy nasi nie odznaczali się zbytnią muzykalnością, a Antek spytał z lękiem, czy mają odegrać jakiś określony kawałek.

— Nie — powiedział Jan z pewnością siebie. Znał się na muzyce jak kura na pieprzu. — Nie potrzeba żadnego kawałka, idzie tylko o to, aby było głośno i abyśmy mieli bęben i trąbę. Gdy je zdobędziemy, będzie ślicznie!

Wójtów Kuba miał bęben ale dziurawy, trąba błękitnego Wojtka była zepsuta. Skądby wziąć dobre instrumenty?

Kazik znalazł wyjście. Jego szwagier w Siankach Dolnych miał praw-

dziwy bęben, zgodzi się napewno im go pożyczyć, a kościelny ma i trąbę i róg myśliwski.

— U nas jest też róg — powiedział Franek.

— Widzicie więc — rzekł Jan — lepiej wypożyczyć obydwa, niż tylko jeden. Kasper z Górki ma skrzypce i te zabierzemy, a dla kogo instrumentu nie stanie, ten będzie gwizdał lub śpiewał.

— Ja umiem śpiewać — odezwał się błękitny Wojtek i zaczął ochrypłym głosem:

— Tysiąć walecznych!

Antek powtórzył raz jeszcze:

— Jednak lepiej byłoby, gdybyśmy wszyscy śpiewali jedno i to samo.

— Nie! odpowiedział Jan stanowczo i niecierpliwie i takie szerokie koło zatoczył pędzlem, że farba chlapnęła w twarz Antkowi:

— Jeżeli wiesz lepiej, to urządzaj sam, a ja wiem co wiem, przy serenadzie idzie tylko o to, aby było głośno!

Antek nie odważył się już odezwać i poddał się w zupełności.

— Czy weźmiemy do tego dziewczynki? — spytał Kuba.

— Nie — powiedział Jan — do serenad nie bierze się dziewczynek, one mogą się tylko przysłuchiwać.

— To mi się bardzo podoba! — chwalił Kazik — tylko chłopcy wezmą udział!

Począwszy od tego dnia chłopcy szeptali pomiędzy sobą bez ustanku, wiecznie mieli jakieś tajemnice, a gdy się dwóch spotkało na drodze, wołał jeden:

— Tra-ra-ra-ra! — a drugi:

— Bum-bum-bum! — bo w myśli grali już na instrumentach, które Jan między nich rozdzielił.

— Szewc Dratewka, słysząc te tajemnicze bum-bum i tra-ra-ra, powiedział:

— Tam klei się jakieś potężne głupstwo. Poznač można po nosach chłopców, że coś się święci!

Naturalnie, że każdy domyślił się jakiejś tajemnicy. Najbardziej tajemnicze miny przybierali chłopcy w obecności dziewcząt. Szeptali sobie do ucha, gwizdali porozumiewawczo i uśmiechali się znacząco. Mrugali do siebie i wołali głośno z przechwałką:

— Ach, będzie coś pięknego!

Gdy któraś z dziewczynek zapytała, co będzie pięknego, wtedy śmiali się jeszcze bardziej i wołali:

— Sss sss — to miało znaczyć serenada, ale dziewczęta nie mogły się tego domyśleć. Dziewczęta stawały się coraz ciekawsze i coraz usilniej starały się wybadać tajemnicę. Wszelkie usiłowania na nic się jednak nie przydały. Nawet Anusia Drozdówna, która wszędzie umiała nosek wścibić, nie

dowiedziała się niczego. To ją tak gniewało, że zupełnie poważnie zapowiedziała koleżankom, że nigdy już z żadnym chłopcem nie będzie rozmawiać. W pół godziny później paplała w najlepsze z Frankiem.

Pewnego dnia w marcu, powiedziała babka Agata:

— Już czuć wiosnę w powietrzu! — Wysunęła głowę przez okno ciesząc się, że łagodny wietrzyk igra jej po twarzy i myślała już o lecie, słońcu i kwitnących grządkach.

Ojciec Kazika planował, że latem wystawi nową stodołę, kobiety mówiły o gruntownych porządkach, dziewczęta naradzały się, czy już iść na śnieżyczki, a chłopcy — no ci poznikali bez śladu! Droga, która rozbrzmiewała zwyczajnie od ich nawoływań i krzyków była dziś pusta i cicha, a szewc Dratewka dziwił się niemało, gdzie się chłopcy podzieli.

Dziewczęta miały właśnie lekcję szycia z panią nauczycielką i siedziały wszytkie razem w szkole, zwykle chłopcy bawili się o tej porze na podwórzu szkolnem a dziewczynki wzdychały nieraz żałośnie patrząc przez okno na wesołą zabawę kolegów. Staśka piekarza była szczególnie wrogo usposobiona dla igły, nici i naparstka, robiła olbrzymie ściegi, albo nić jej się rwała, albo wycinała przypadkowo dziury w materji. Teraz chłopcy nie hałasowali pod szkołą, Staśce jednak robota nie szła. Miała zeszyć koszulę z boku, a zeszyła ją u dołu. Kiedy nauczycielka ganiła jej nieuwagę, nagle odezwał się zdala dziwny hałas zmieszanych głosów.

Wszyscy zaczęli nadsłuchiwać. Dziewczynki ze strachu zbiły się w gromadkę a nauczycielka rzekła pytająco:

— Może to pożar?

W klasie powstał lament:

— Pali się!

— Gore! — krzyczały dziewczynki, a niektóre wdrapały się na stoły jakby się już paliło. Hałas wzmagał się. Nauczycielka pomyślała z lękiem o swoich małych dzieciach, które zostawiła na opiece służącej.

— Przerwiemy lekcję — rzekła.

— W okamgnieniu wszystkie robótki zostały złożone a dziewczęta wybiegły na ulicę, wołając:

— Pożar!

— Pożar!

Dorośli słyszeli również dziwny hałas i pytali się wzajemnie:

— Gdzie pożar?

Wójt kazał szybko wyciągnąć sikawkę i rzekł:

— Rozejrzyjcie się, w której stronie dym widać!

Była to pora, w której gospodynie gotowały kawę na podwieczorek, więc z każdego komina unosił się błękitny dymek.

— Gdzie się pali? — pytał wójt niespokojnie. Wtem nadbiegł stróż nocny, którego obowiązkiem było trąbić na pożar i rzekł spokojnie:

— Nigdzie się nie pali. Jan młynarza zabrał mi róg tak, że nawet nie miałbym na czem trąbić.

— Człowieku! — zawołał wójt — powiedzcież skąd ten hałas?

Wszyscy słuchali uważnie. Hałas stawał się coraz przeraźliwszy, ale nie dało się określić z której strony dochodził, bo wiatr roznosił dźwięki to w tę, to w ową stronę.

— Może to wojna! Mój Boże a ja nie mam rogu przy sobie — lamentował Piotr, który nie grzeszył rozumem.

— Bzdury — powiedział wójt — widocznie cyganie przyjechali.

— Tak, z pewnością cyganie — potwierdzili wszyscy zgodnie i zatrzymali się na drodze, by zobaczyć nadciągających cyganów. Nikt się jednak nie ukazał, tylko psy wyły i dziki hałas wcale nie ustawał.

— Już wiem skąd te wrzaski! — wołała Anusia Drozdówna, która nadbiegła zdyszana powiewając fartuszkiem jak sztandarem — w szopie hałasują, słyszałam wyraźnie.

Szopa młynarza stała u wejścia do wsi, była stara, groziła lada chwila zawaleniem i miano ją już dawno rozebrać. Dach i ściany były dziurawe jak ser szwajcarski i dlatego stała bez użytku. Im bardziej zbliżali się do szopy tem hałas stawał się głośniejszy, najstarsi ludzie we wsi nie słyszeli nigdy czegoś podobnego

— Ach to napewno cyganie! — krzyknął wójt w złości, a Piotr, stróż nocny, twierdził:

— Nie, to nieprzyjaciel nadciąga, teraz będzie wojna!

Ponieważ nie pragnął widoku wroga pozostał nieco w tyle za innymi by w danym razie uciec pierwszy.

Wójt nie był wcale lękliwy Odważnie podszedł ku szopie i tak silnie szarpnął drzwiami, że te nie tylko się otworzyły, ale nawet wyskoczyły z zawiasów i omal, że nie zwaliły się na wójta.

— Bum, bum, bum, tratatatata, rach, ciach, ciach, — brzmiało potwornie, a ludzie stali we drzwiach ogłuszeni.

W środku stodoły stał na beczce Jan z młyna i wymachiwał kijem dookoła siebie tak dziko, jakby siedział w gnieździe os, które się wszystkie na niego rzuciły. Dookoła stali wszyscy chłopcy z Sianek Górnych i grali na bębnach i trąbach, skrzypcach, rogach, darli się na całe gardło śpiewając gwizdali i wrzask był taki, jak ongiś pod murami Jerycha.

— Cóż to do licha? — krzyknął co siły wójt. Ale nikt go nie usłyszał, za wójtem stała cała gromada, lecz natchnieni muzykanci nie spostrzegli nikogo, bo stali zwróceni plecami do wejścia, jeden tylko Jan z młyna zobaczył, co się dzieje.

Spojrzał na ludzi jak na upiory, osłupiał, oniemiał, gapił się przez chwilkę, aż nagle zeskoczył z beczki, — bum, bum, bum, — usłyszano trzask

okropny! coś zadudniło głucho i strasznie a chłopcy pouciekali do kątów krzycząc z przerażenia.

Zgromadzeni ludzie ujrzeli ze strachem dwie trzepocące się w powietrzu nogi, odziane w niebieskie nogawice. To Jan parobek z młyna wpadł do bębna! Padając przedarł skórę na bębnie i wpadł weń jak mysz w pułapkę. Dwóch chłopców wyciągnęło go, ale ponieważ zleciał z góry na głowę, trwało dość długo zanim oprzytomniał na tyle, by móc odpowiedzieć na pytania. Jęczał tylko raz po raz:

— Ach ta przeklęta serenada!

Chłopcy powyłazili z kątów i otoczyli swego kapelmistrza. Wójt spytał ostro i stanowczo o powód tych hałasów, a nauczyciel, który nadbiegł wraz z innymi, potrząsał poważnie głową i rzekł wzdychając:

Jesteście niepoprawni, chłopcy!

Wtedy Kazik zdobył się na odwagę i opowiedział dokładnie, jak się rzecz miała, a gdy skończył rzekł Jan z żalem:

— Byłaby śliczności muzyka, szło tak ładnie!

Nauczyciel roześmiał się tak serdecznie jak nigdy dotąd chłopcy nie widzieli go nigdy tak wesołym, więc wraz z nim śmiali się radośnie. Śmiał się też wójt i cała gromada nawet myśl o zepsutym bębnie nie zmąciła ogólnej wesołości.

Chłopcy pozabierali instrumenty, kilku z nich dźwigało bęben, wszyscy razem wrócili do wsi.

Piotr Szczerba, który czekał na drodze zawołał:

— Hura! — gdy usłyszał co się działo i dodał:

— Gdyby to naprawdę byli nieprzyjaciele byłbym ich sam jeden ze wsi przepędził.

Nikt mu jednak nie wierzył.

Nauczyciel wrócił do domu i opowiedział swojej żonie całą historję. Żona śmiała się i rzekła:

— Poczciwe chłopaki!

— Tak, to w gruncie poczciwe i dobre dzieci i to mówiąc nauczyciel poszedł do swojego pokoju.

Na biurku paliła się już lampa, ale na dworze było zupełnie widno.

Zadumany spojrzał przez okno. Jak ciemna ściana rysował się las w oddali, a nad nim jaśniało niebo. Widok z okna był piękny i daleki, a nauczycielowi przypomniały się w tej chwili wysokie, szare kamienice miejskie. Właściwie podobały mu się Sianki bardzo i wszystko w nich, nawet dzieci.

Nagle roześmiał się tak serdecznie jak przed chwilą w szopie; tym razem śmiał się sam do siebie. Odrazu zrozumiał, że dzieci podobały mu się najbardziej ze wszystkiego.

— Dobre są — powtórzył, poszedł do żony.

Długo rozmawiali i rzekli wkońcu:

— Niech już tak będzie!

Nazajutrz, gdy wszedł do klasy, wyglądał tak pogodnie, jakby się był natarł jasnemi promieniami słońca, które ozłociło całe Sianki. Nie otworzył też jak zwykle książki i nie powiedział:

— Zaczynamy! — lecz stanął naprzeciw uczniów, badawczo patrzył na nich przez chwilę i zapytał:

— Czy byłoby wam naprawdę przykro, gdybym stąd odszedł?

Nikt nie odpowiadał, tylko wszystkie jasne i ciemne główki smutno się pochyliły.

Twarz nauczyciela rozjaśniła się jeszcze bardziej i pytał dalej.

— A może wolelibyście, żebym z wami pozostał?

W okamgnieniu podniosły się wszystkie główki, radość zaświeciła w błękitnych i ciemnych oczach i radośnie zabrzmiała krótka odpowiedź:

— Ach tak!

— Więc dobrze, zostanę — powiedział nauczyciel — Wasza serenada, chłopcy, nie udała się wprawdzie, a jednak dowiodła mi, że mnie kochacie, dlatego zostanę z Wami. Dobrze?

— Tak, tak! — wołały uradowane dzieci, a najgłośniej wołali chłopcy. Byli przejęci swą rolą. Przez całe cztery tygodnie dzieci nie mówiły o niczem innem tylko o serenadzie i o tem, że byłaby się z pewnością udała, gdyby była przyszła do skutku.

Gospodarze zapłacili za podarty bęben, a nauczyciel został w Siankach, ku ogólnej radości. Jest on tam jeszcze po dziś dzień i zostanie zapewne nadal. Uczniowie bardzo go kochają. Płatają mimo to najrozmaitsze psoty i figle, a nawet — są nieraz leniwe, tak, że nauczyciel musi gniewać się na nich i karać, choć ich kocha. Potem jednak, gdy gniew przeminie, wspomina serenadę i mówi z uśmiechem:

— Jednak to dobre dzieci.

D. BERLAS.

O kanale Sueskim.

W roku 1859 rozpoczął inżynier francuski Ferdynand Lesseps roboty ziemne około przekopania kanału w północnej Afryce, w dolnym Egipcie. Kanał miał połączyć morze Śródziemne z morzem Czerwonem, otworzyć przystęp do handlu z krajami Wschodu oraz umożliwić przepływ cywilizacji z Zachodu do tych krain.

Dziesięć lat potem wody morza Śródziemnego i morza Czerwonego

połączyły się i sześćdziesiąt dziewięć okrętów wszystkich większych państw na świecie z delegatami urzędowymi państw przejechały triumfalnie kanał.

W starożytnych czasach przekopano kanał już raz w międzymorzu Sueskiem, i dzieje podają, że go zasypano z powrotem z końcem ósmego wieku po narodz. Chr. Ukrócona droga morska przez przekopany przesmyk Sueski zanadto nęciła ludzi. Wszak droga do południowej Azji przez kanał od Port-Saïdu nad morzem Śródziemnem aż do Suezu nad zatoką przy morzu Czerwonem, a potem morzem Czerwonem przez cieśninę Bab-el-Mandeb i oceanem Indyjskim trwa o wiele mniej, aniżeli naokoło obszernej Afryki. A co węgla drogiego spala się na parowcach przez długą jazdę, gdy nawet nie liczy się czasu?

Nic też dziwnego, że inżynier Lesseps robił ogromne starania i pokonywał dużo przeciwieństw, aż rozpoczął pracę przy mającym powstać kanale.

Kopiąc kanał, miano do czynienia nie tylko z lądem. Olbrzymia praca, przy której stała armia robotników, złożona z dwudziestu pięciu tysięcy ludzi, miała i udogodnienia swoje przez to, że droga kanałowa od Port-Saidu do Suezu prowadziła przez trzy większe jeziora a mianowicie: zaraz obok Port-Saidu przez jezioro Menzaleh, dalej na południe przez jezioro Ballah i jeszcze dalej na południu przez oba jeziora Gorżkie. Jeziora wspomniane nie były zdatne do żeglugi, trzeba je było przekopać, zrobić głębsze łożyska kanałowe i napuścić wodą. Wzdłuż kanału znajdują się porty i stacje z budynkami dla inżynierów, urzędników i robotników. Linja kolejowa łączy osobno miejscowości nad kanałem i z głównem m astem Kairem w Egipcie.

W środku drogi, między dwoma morzami, w uroczem położeniu na północ od jeziora Timsah, Kompanja (towarzystwo) zarządzająca kanałem dała wybudować biura dyrekcji i mieszkania dla urzędników wszelkiej służby kanałowej. Około tych budynków powstało miasto Ismaila, które liczy obecnie około 10.000 mieszkańców.

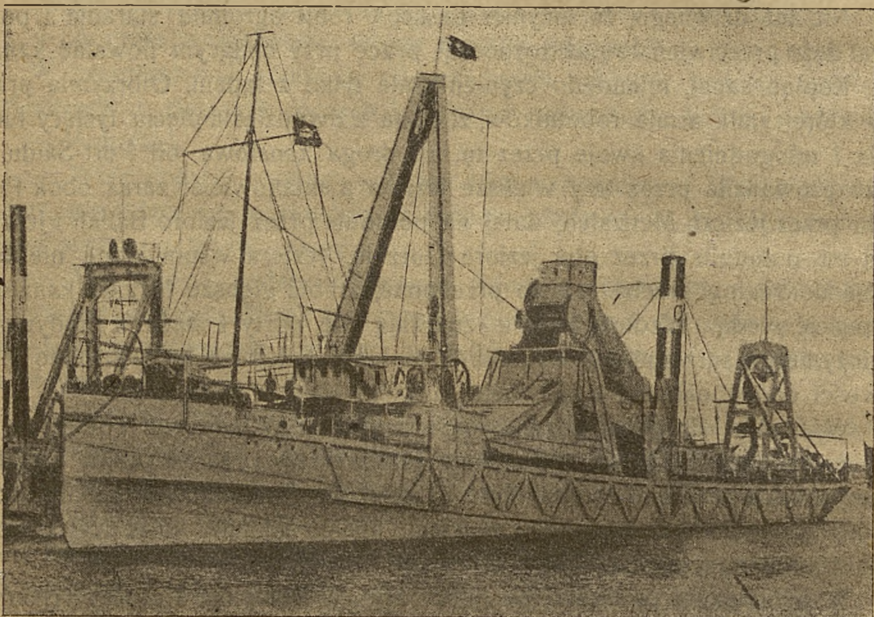
W przepięknej powieści dla młodzieży „W Pustyni i Puszczy" Henryka Sienkiewicza znajdujemy dużo wzmianek o kanale Sueskim. W jednem miejscu bardzo pięknie autor pisze o wysiłku około utrzymania kanału: „Kanał Sueski niedość było przekopać, trzeba go jeszcze i utrzymać, gdyż inaczej piaski z pustyń, leżących po obu jego brzegach, zasypałyby go w ciągu roku. Wielkie dzieło Lessepsa wymaga ciągłej pracy i czujności. To też do dziś dnia nad pogłębieniem jego łożyska pracują pod dozorem biegłych inżynierów potężne maszyny i tysiące robotników."

Dużo jest pracy około kanału, bo też długość jego nie byle jaka Mierzy on 161 klm od początku do końca. Poziom jego wody jest taki sam jak poziom morza, a głębokość obecna dosięga już 10 m pod poziomem morza na szerokości kanału 45 metrów; lecz szerokość zwierciadła wody dosięga 80 do 120 metrów, więc kanał ma ściany pochyłe.

Maszyny, pracujące nad utrzymaniem głębokości łożyska kanału i nad

jego pogłębianiem nazywają się dragami. Drag używają do pogłębiania rzek, kanałów portów, do wydobywania żwiru, piasku i kamieni z ich dna.

Draga podobna jest do okrętu, lecz maszyny jego parowe poruszają i tłoki obracające systemat kół zębatych. Na dwóch bębnach umocowanych w ramie jest nawinięty pas łańcuchów bez końca, opatrzonych szeregiem mocnych szufli, poruszających się w kierunku wskazówek zegaru. Szufle te dotykając ostremi brzegami dna, zabierają zeń ziemię, żwir. piasek i t. d., które niosą prawie aż do szczytu dragi. Tu przewracają się i wysypują ziemię do rynny; stąd ona zsypuje się następnie do czułen, galarów, które ją



Ogólny wygląd dragi. Draga ta „La Puissante“ należy do najsilniejszych na świecie.

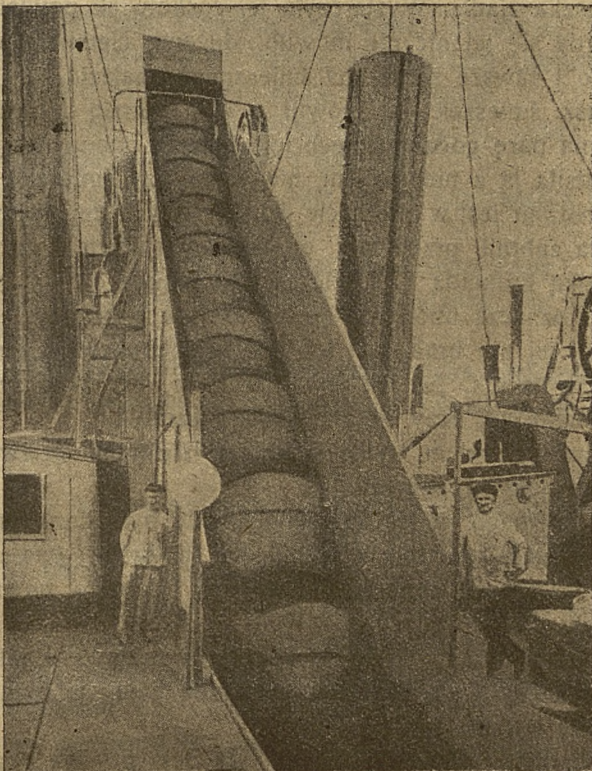
odwożą na brzeg. Dragi, które pracują w kanale Sueskim są uważane jako największe na świecie.

Szufle dragi nie mogą często dać rady twardym skałom podwodnym, wówczas używa się rozrywacza skał, który działa jak kilof, poruszany maszyną parową, zaś szufle dragi działają jak łopaty do kopania.

Czas przejazdu przez kanał trwa dłużej aniżeli ta sama droga na pełnem morzu. W roku 1870 okręt przepływał kanał w 48 godzinach, w roku 1887 taki sam statek zrobił drogę już tylko w 34 godzinach, a dzisiaj okręt przepływa kanał w 17 godzinach. Statki parowe nie mogą używać szybkości

na kanale, tak jak to czynią, na pełnem morzu. W kanale utworzyłyby się silne fale wodne, które niszczą brzegi i łożysko kanału.

W niedawnej wojnie światowej kanał Sueski odegrał tak wielką rolę, że twierdzić można, że pomógł do zwycięstwa Anglji i Francji. Ruch okrętów



Szufle dragi „La Puissante", służące do zabierania piasku, żwiru i ziemi z dna. Każda z tych szufli ma zawartość 850 litrow.

na kanale był wzmożony, z Indji, Australji i Nowej Zelandji wiozły okręty wojska, amunicję i żywność do Anglji, a z kolonji francuskich do Francji. Nie dziw więc, że otacza się wielką troskliwością kanał Sueski, albowiem pożytek z przekopania jego i utrzymania jest niezmierny dla całej Europy.

F. LAZARUSÓWNA.

Sala Grynszpan.

Obrazek z Internatu dla sierot.

Sala Grynszpan jest najweselszą z naszych dzieci. Gdy była małą, mówiono, że śmieszka zjadła. Wystarczyło jej cośkolwiek powiedzieć, a ona już chichotała, a gdy się jej nic nie mówiło, dużemi, ciemnemi oczyma rozglądała się wokoło i zawsze sobie coś śmiesznego znalazła.

— To nasz śmieszek — mówili o niej dorośli i bardzo ją kochali, a gdy czasem na parę godzin śmiech jej ustawał, panna Marja Ryszfeld sanitarjuszka, śledziła ją z niepokojem, niepewna, czy śmieszek nie choruje.

Sala Grynszpan jest w internacie od pierwszych dni wojny, matki nie ma od dawna, ojca zabrali przed laty do wojska i słuch o nim zaginął. Sala zżyła się z wielką gromadą 175 dzieci i zapomniała o swoich troskach. Jest ubogą, o ile to oznacza ubóstwo, że się nie ma pieniędzy i że jej nikt nie odwiedza. Ludzi jej nie brak, jest ich tyle w internacie! Czas mija Sali jak strzała. Spójrzcie na nią, już nie jest dzieckiem, już ukończyła szkoły i już pracuje w introligatorni, uczy się rzemiosła i zarabia.

Nie jest już dzieckiem, tylko smukłem, ślicznem dziewczęciem, które się ciągle śmieje. Jest jej dobrze!

Pewnego pięknego ranka, już wtedy, gdy była dorosłym człowiekiem, przyszedł do internatu urzędnik z policji, by zbadać jej papiery.

Oto jakiś sadownik zamieszkały we wsi Garbatce powrócił z niewoli i poszukuje córki.

Urzędnik bada długo. Siedzi w kancelarji zakładu u intendenta i obaj przyszli do przekonania, że ten nasz śmieszek Sala, to była ta sama Sala Grynszpan, której poszukiwano.

Dano znać ojcu. Przyjechał zaraz, ale Sala go nie poznała i patrzą z podełba na sadownika spytała cicho i z niewiarą:

— To wy, mój tatuś?

Tatuś przycisnął do piersi piętnastoletnią córkę, przyciągnął ją na swoje kolana i począł jej opowiadać różne rzeczy z jej dzieciństwa, aby go poznała.

Mówił jej o domu w Garbatce, o ich sadzie, w którym się wychowała, o matce, która ją odumarła i o słowiku, którego trzymała w klatce.

Sala otworzyła szeroko oczy słysząc te wspomnienia, potem wybuchła płaczem, bo poznała swego tatusia i rzuciła mu się w ramiona.

On także płakał.

— Zmieniliście się tatusiu — mówiła Sala z żalem — byliście tacy wielcy a teraz jesteście tacy mali!

Tatuś począł opowiadać jej swoje dzieje. Był tak długo na wojnie, tak długo w niewoli i tak bardzo było mu za nią tęskno.

Sadownik, Mozes Grynszpan chciał zaraz zabrać ze sobą swoje dziecko. Dowiedziawszy się o tem, na czoło naszego śmieszka wystąpiły dwie duże zmarszczki. Jej pierwsze zmarszczki.

Przywiązała się tutaj do dzieci i do dorosłych, iść stąd nie chce i już rozpacza.

Kierowniczka zakładu wezwała sadownika do siebie. Przy drzwiach zamkniętych mówili z sobą długo, potem w kancelarji zakładu także długo o tem mówili w końcu Mozes Grynszpan sam odszedł.

Sala sądziła, że go odprowadzi na stację, że ją ojciec o to poprosi On jednak milcząc ucałował jej czoło i odszedł.

— Myślałam — rzekła Sala do pani — że odprowadzę ojca.

— Więc czemuś tego nie uczyniła?

— Bo mnie o to nie prosił! — odrzekła dziewczynka.

— To ty powinnaś ojca o to prosić — pomyśleć jest za mało — odpowiedziała pani.

— Tak, za mało — powtórzyła Sala tonem echa i poczęła się wstydzić. Żal wziął górę, wybiegła za odnalezionym tatusiem, ale nie mogła go już znaleźć.

— Trudno!

Tatuś nawet mi adresu nie podał — żaliła się Sala, płacząc tym razem całkiem na dobre.

— Mnie dał adres — odrzekła pani.

Sali spadł kamień z serca i zaraz poszła do uczelni, by do ojca napisać. Od tego dnia pisywała do niego stale i zadawała mu różne pytania, a gdy na jeden z jej listów odpisał, że w Garbatce niema introligatora poczęła myśleć o wyjeździe.

— Pojadę! — postanowiła milczkiem i poczęła robić przygotowania.

Pewnego pięknego ranka przyszła do kierowniczki i prosi a ją o list do jej opiekunki pani doktorowej Sołowiejczykowej z potwierdzeniem, że internat nie daje wychowańcom pieniędzy na wyjazd.

Pani miała ten zwyczaj, że nie zadawała pytań i bez tego wiedziała o wszystkiem. Napisała więc list, oddała go Sali i czekała, co będzie dalej.

Oto po paru godzinach wezwano ją do telefonu. Pani Sołowiejczykowa zapytywała czy list, który jej Sala Grynszpan przyniosła to nie falsyfikat, tylko rzeczywiście pisany jej ręką.

— Tak, ja go pisałam — rzekła pani.

— Bo widzi pani — odparła opiekunka dziewczynki, Sala prosiła mnie w zeszłym tygodniu o kilkaset marek na sukienkę, a wczoraj przyszła znowu po pieniądze na wyjazd, bo internat nie daje. Chciałam więc rzecz sprawdzić i kazałam to sobie przynieść na piśmie.

— Czy pani jej dała pieniądze?

— Na suknię jej dałam, a na wyjazd dam jej zaraz, ona tu na to czeka.

Pani kierowniczka znowu nic nie odrzekła, tylko czekała co będzie.

Sala wróciła do domu w nowej sukni i z miłą wieścią, że jedzie jutro do tatusia!

— Patrzcie państwo, nowa sukienka! — rzekła pani, Sala nie mogła się wstrzymać od śmiechu! Rzuciła się pani na szyję tak całkiem jak wtedy, gdy ją śmieszkiem nazwano, gdy była maleńka, usiadła pani na kolanach, choć była od niej większa i pieszcząc się mówiła z radością o mi ych listach jej tatusia, o tem, że w Garbatce niema introligatora, że żydowskie dzieci uczyć będzie po polsku, że założy kursa dla dorosłych analfabetów i że gdy będą mieli książki, to im je oprawi. Mówiła pani o swojej tęsknocie za ojcem, o tem, że chce do niego powrócić nie tylko dorosła i nie tylko człowiekiem, ale i ładna i że dlatego była u pani doktorowej Sołowiejczykowej, że od niej wzięła pieniądze na sukienkę i na wyjazd. Suknię wybierała długo, ale tę wzięła, bo w tej jest jej najlepiej do twarzy.

— Salo — rzekła pani łagodnie — tuląc jej główkę do swojej twarzy — wyciągnęłaś rękę do kogoś, kto ci nie wierzy.

Słowa trafiły! Nagle przed naszym śmieszkiem rozwidnił się zaćmiony dla niej dotąd horyzont.

Tak! wyciągnęła rękę do całkiem obcej pani, która przypadkiem podała się za jej opiekunkę i przez cały przeciąg siedmiu lat nie była u niej.

— Ja te pieniądze oddam! — rzekła Sala.

— Oddasz? kiedy?

— Oddam zaraz — rzekła dziewczynka — a po chwili poprawiła się.

— Oddam zaraz te na podróż.

— A te na suknię? To była przecie wyproszona jałmużna, a ty jałmużny nie potrzebujesz.

Sala odczuła to. Wybiegła lotem strzały pomimo, że to było samo południe i że jeszcze nie jadła obiadu i powróciła dopiero wieczorem.

Litościwa nasza kucharka przechowoła jej obiad, dodając do tego swoim zwyczajem najlepszy kąsek swojej porcji i cały dzień niby na czatach stała przy oknie, aby zobaczyć czy też Sala Grynszpan już idzie.

Sala wiedziała, że się będą niepokoili w internacie, a jednak nie mogła postąpić inaczej. Najpierw sprzedała suknię, na czem jej pół dnia zeszło, a potem poszła do opiekunki oddać pieniądze i wróciła.

Oto jest znowu u pani, siedzi na kolanach i pyta rzewnie.

— Czy nie pojadę do tatusia?

— Owszem pojedziesz, ale za swoje! Żyliście tak długo w rozłące dotrwaj jeszcze trochę, przecie twój introligator płaci ci. Uskładaj pieniądze a wyjedziesz.

Sala poczęła pracować z zapałem. Nasza dobra kucharka z wielkiego wzruszenia poczęła jej dzień w dzień dodawać coś ze swojej porcji, pomimo

że porcje naszych dzieci były aż nadto duże, za miesiąc miała już Sala sukienkę, za dwa, pieniądze na bilet kolejowy i na furmankę.

Pojechała.

A gdy przed nią siedzącą w wagonie mknęły widoki i przesuwał się krajobraz, doznała tyle szczęścia, tyle radosnych wzruszeń, ile odczuć i przeżyć można tylko za samodzielnie zapracowane grosze, a nie za jałmużnę.

Spotkali się.

Ulicą miejską szedł ubogi i samotny człowiek. Wprawne oko mogło w nim poznać odrazu dawnego żołnierza.

Nie był on jeszcze bardzo stary, ale dziwne zmęczenie widniało w całej jego postaci. Trudy przebyte, czy cierpienia nieznane poorały zmarszczkami jego twarz zastygłą i obojętną. Plecy miał zgarbione, wytarte choć czyste ubranie i chód bardzo powolny.

Nie była to wesoła i beztroskliwa powolność ludzi szczęśliwych, używających wczasu, — lecz smutna powolność ludzi, którzy nie mają się już śpieszyć do kogo, ani do czego, bo ci których kochali, — odeszli, a to co ich zajmowało, czy cieszyło — dawno już przestało ich radować. Posuwa się tak powoli po ulicach, patrząc sennie przed siebie.

Wtem drgnął i stanął.

Rysy jego zmąciły się w jednej chwili jak poruszona woda. Obojętność pierzchła. Zbudzone nagle oczy, zaczęły się w coś wpatrywać z natężeniem po drugiej stronie ulicy.

Jakby niewidzialne światło rozjaśniło mu twarz i patrzył... patrzył...

Nie było tam jednak nic godnego uwagi. Poprostu stała obok chodnika jednokonna dorożka, której woźnica zlazł z kozła i przyklęknąwszy koło budy poprawiał coś przy resorach. Powozik był nieświeży, a koń stary i chudy zwiesił głowę i miał wyraz znużony, spracowany i smutny.

W tego to konia wpatrywał się stary żołnierz. Nagle przeszedł szybko ulicę, stanął obok niego i położył mu rękę na karku.

— Gniadosz, rzekł z cicha, głosem tak wzruszonym, że był zaledwie słyszalnym.

— Gniadosz — powtórzył głośniej, tyżeśto? tyżeśto mój stary?...

Głaskał, klepał, pieścił z czułością chudy kark i wyciągniętą szyję zwierzęcia, mówił do niego, zaglądał w oczy...

— Kochany stary — szeptał mu do ucha, kochany koniku, pamiętasz jak wojowaliśmy razem?

Razem... Wówczas nie byłem sam jeden na świecie, miałem ciebie... przyjacielu!

— Gniadosz! pamiętasz ty mnie?... Pamiętasz?...

W głosie człowieka była tkliwość niewymowna i namiętne pragnienie być poznanym.

Koń drgnął pod dotknięciem ręki. Odzwyczaił się widać od łagodnego obejścia. Może myślał że dostanie batem. Po chwili pod wpływem głosu i pieszczot żołnierza, na dźwięk swego imienia zaczął strzyc uszami, patrzył na przybysza... wyraz inteligencji niezwykłej prawie ludzkiej odbił się w jego oczach.

W tem, podniósł głowę, spojrzał w górę i zarżał!...

Srebrne, radosne, tryumfalne tony tego rżenia wstrząsnęły powietrzem.

I koń poznał przyjaciela.

Żołnierz zarzucił obie ręce na szyję konia, przytulił głowę do jego głowy, i zaczął szlochać jak dziecko.

Dorożkarz usłyszawszy to rżenie, wyszedł z za budy i spojrzał ze ździwieniem na swego konia. Nie chciał uwierzyć, by to jego własny koń zarżał tak rozgłośnie.

Nie podejrzywał nigdy, nie wiedział wcale, iż to stare drzemiące zwierzę może wydobyć z piersi głos taki, tak przepojony uczuciem i szczęściem.

Podobny błąd popełniamy nieraz i z ludźmi. Nie domyślamy się często, jakie iskry i blaski kryje niejedno serce, pod starą i smutną powłoką.

— Co to takiego? Kto pan jesteś? — pytał dorożkarz, widząc nieznajomego człowieka, tulącego się do konia.

Kilkoro dzieci zeszło się na chodniku i z ciekawością przypatrywało się tej scenie.

— To mój koń... To mój dawny koń żołnierski... bąknął biedak, nie mogąc zwalczyć wzruszenia.

— Przepraszam pana, ja zaraz odejdę... Ale on był jak przyjaciel, jak brat... zaraz, przepraszam...

Dzieci zebrane na chodniku zaczęły klaskać w ręce i cała gromadka porwana zapałem, krzyknęła:

— Hurra!!...

Była to śliczna lekcja dobroci dla zwierząt. Z pewnością żadne z dzieci, które to widziały nie obchodziło się już nigdy okrutnie z koniem.

Woźnica, prosty człowiek miał zapewne także dobre serce, bo rzekł przyjaźnie:

— Proszę pana, niech pan go głaszcze, bardzo proszę, to mnie nic nie szkodzi.

A dzieci wołały:

— Patrzcie! patrzcie! jak podnosi uszy, jak obwąchuje swego dawnego pana. Ach; a teraz złapał go wargami za rękaw! a teraz tuli doń głowę.

Istotnie, koń poznawszy już na pewno pana, nie posiadał się ze szczęścia i robił wszystko co mógł, aby mu okazać swą miłość i pamięć.

Pieszcząc się ze zwierzęciem, stary żołnierz wypytywał dorożkarza, gdzie go kupił, gdzie mieszka, czy mu pozwoli przyjść czasem i nacieszyć się przyjacielem, a gdy otrzymał zezwolenie, uścisnął obie ręce dorożkarza, dziękując mu serdecznie.

— O czem ja myślę — zawołał po chwili. — Muszę przecież poczęstować — starego zucha. Poczekaj koniku, zaraz wrócę.

Wyciągnął ze swej mizernej kieszeni trochę pieniędzy, a po oczach jego widać było, że to suma dla niego ogromna. Nie zawahał się jednak ani chwili.

Wielka rzecz — szepnął — nie kupię sobie dziś obiadu.

I za cenę własnego posiłku przyniósł za chwilę w dużej torbie papierowej owsa, dla towarzysza młodości.

Gdy biegł po owies, niktby w nim nie poznał zgnębionego i przybitego przechodnia.

Twarz zroszona przed chwilą łzami jaśniała pogodą plecy wyprostowały się, nogi biegły z młodzieńczą żywością. — Dwadzieścia lat mu ubyło.

Nie wiem co się dalej stało, bo straciłem z oczu obu przyjaciół i nie mogłem mimo poszukiwań dowiedzieć się ich adresu, ale mógłbym przysiąc, że żołnierz codziennie odwiedzał druha, że częstował go zawsze za cenę własnego jadła i że czuł się daleko mniej samotnym na ziemi.

Był szczęśliwym.

Rozwiązanie zagadek z N-ru 3.

Łamigłówka: Orzeszkowa, Nad Niemnem.
Gwiazda magiczna: Gdynia.

Trafne rozwiązania zagadek nadesłali:

Witlinówna, Sandberżanka, Bäckermanówna, Gniwoschówna, Feilchussówna, Popowcerówna, Schutzówna, Feldówna, Heilusamówna, Wilczerówna, Rottenberżanka, Baunerówna, Zimmermanówna, Feierżanka, Kirchnerówna, Gonta, Entenówna, Bilikamniner, Olmutz, Massówna, Leichenówna, Rittel, Burst, Beer, Bogen, Haberkorn, Rellesówna, Kelnerówna, Lebewohlówna, Roth, Lewin, Pundyk, Russman, Mesusc, Ruhen, Figer, Tepaberg, Schäffer, Goldenthal, Misch, Lieb art, Tiger, Urichówna, Zimmerman, Klopper, Sibert, Kunke, Tuny, Reinhold, Limmer, Hittel, Thaler, Entenberg, Długopiat, Jasłowicówna, Wurzel, Wallesch, Salz, Segall, Kandel, Labiner, Leist, Laudes, Halpern, Imber, Lewinsuln, Engenberg, Klahr, Land, Haselnosowie, Karolówna, Keller, Seeman, Klak, Pelz, Lilienówna, Karg, Rosmanówna, Czopp, Keiler, Altschüler, Kellner, Pechner, Koch. C. d. w następnym numerze.

NOWOŚĆ!!

Zagadki konkursowe „Jutrzenki".

I.

Cztery siostry wszyscy znamy,
Wszystkie zarówno kochamy,
A gdy jedna żegna nas.
Druga wita w ten sam czas.
Każda przyjemności daje
Kwartał z nami pozostaje.
Razem nigdy nie obcują,
Chociaż pewnie się miłują.
Pierwszą piękną i kwitnącą,
Za najmilszą uważają,
Drugą skwarną i gorącą
Dzieci chętnie powitają,
Bo wakacje im przynosi.
Trzecia skrzętna gospodyni
O zbiór pracy sióstr swych prosi.
Dla czwartej zapasy czyni.
Czwarta do nas, gdy zawita,
Przykra, ostra, sroga czasem,
Białym płaszczem spowita,
Przepasana lśniącym pasem.

II.

Pierwsza — ka — to zgłoska
w każdym alfabecie,
Druga — kwitknie błękitno, w polach
ją znajdziecie,
Wyschłą na nici zwykle przerabiamy,
Trzecią — zmienioną: daruj
oznaczamy.
Całość mieści miesiące, dni, wschody,
zachody,
A teraz czy zgadniesz czytelniku
młody?

KUPON DO ZAGADEK KONKURSOWYCH „NASZEJ JUTRZENKI".

Imię i nazwisko: ....

....

miejsce zamieszkania: ....

ulica i numer domu: ....

powiat albo województwo: ....

Warunki konkursu:

1. W konkursie rozwiązywania zagadek może każdy wziąć udział, kto nadeśle wycięty i wypełniony kupon do zagadek konkursowych Naszej Jutrzenki.
2. Za trafne rozwiązanie zagadek prześle Redakcja bezpłatnie piękny obrazek oraz następny numer „Jutrzenki" z wydrukowanem nazwiskiem wysyłającego kupon.
3. Kto nie prenumeruje „Jutrzenki" dołącza do kuponu 10 groszy lub nieużywaną markę pocztową za 10 groszy na opłatę pocztową.

„NASZA JUTRZENKA" **jedyne pismo polskie (ilustrowane) dla dzieci i młodzieży żydowskiej.**

Numer pojedynczy 22 groszy, z przesyłką 27 groszy. Konto czekowe P. K. O. 149.547.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Lwów, ul. Janowska 26.

Prenumerata Naszej Jutrzenki wynosi: półrocznie z przesyłką 1 zł. 35 gr. rocznie 2 zł. 70 gr.

Nowi prenumeratorzy otrzymują w upominku książeczkę.

CENA OGŁOSZEŃ JEDNORAZOWO: cała strona 50 zł., 1/2 strony 25 zł., 1/4 strony 12 zł. 50 gr., 1/8 strony 6 zł. 25 gr. Opust za 3-krotne ogłoszenie 10%, za 6-krotne 20%, za 12-krotne 30%.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Dawid Berlas.** Z drukarni Polskiej we Lwowie, pod zarządem Z. Kiełbusiewicza.